

*FRANCISZEK LACHOCKI*

# NAD MUCHAWCEM

Wybór wierszy

*Pamięci mojej żony  
poświęcam*



NAKŁADEM WYDAWNICTWA "PROMYK"

P.O. BOX 5966

PHILADELPHIA, PA. 19137



*Francis X. Sadock*

## MUZYCZNA NARKOZA

Kocham Bogu skradzione dźwięków powikłanie,  
w szachownicę rytmów ujętych, jak w ramki;  
w dźwiękach marzę tak słodko, jakby w wonnym sianie,  
jak w objęciach nieziemskiej, astralnej kochanki.

Podczas uczty muzycznej oczy me przymykam  
i prawie się zatracam w mym cielesnym bycie,  
wszystkie sprawy codzienne chowam i zamykam  
i szybuję duchowo, gdzieś w podniebnym szczycie.

Tam, gdzie płyną melodie ze strun czy klawiszy  
i przez boski mikrofon, ucha kowadełko,  
wlewają się do serca w błogiej, sennej ciszy,  
kojąc cząstki ciała dźwięków drżącą mgiełką.

A w czasie takiej uczty — banalność codzienna,  
jak dzieci wystraszone, za matki plecami, —  
kryje się trwożliwie, albo drzemie senna, —  
a ja ucztuję sam jeden z moimi dźwiękami.

Ani godzin nie liczę, ani czasu nie mierzę,  
wszystkie sprawy odrzucam, które trącą prozą:  
boskie dźwięki, rozlane przy mnie, w atmosferze —  
łowię, piję i żyję — muzyczną narkozą.

## CZEMU NIE JESTEM DĘBEM?

Boże, czemu ja nie jestem dębem wielowiecznym,  
który z nikłej żołądzi rozrasta się wolno  
i przygląda się stulecia Twoim drogom mlecznym —  
aż przekształci się w znak Twój, gdzieś nad drogą polną?

Który ciałem zaschniętym, nim się w proch rozpadnie,  
Tobie, Boże, w Twych domach — wytrwałym pulpitem —  
pod Twe słowo najświętsze pokornie się kładnie,  
albo Twym postaciom służy drzeworytem.

Czemu nie jestem dębem, a tylko robakiem,  
który wszelkie tworzywo toczy nierozumnie, —  
czemu dębem nie jestem, czemu Twoim Znakiem  
nie mogę stanąć w polu, a muszę lec w trumnie?

## NA KRAKOWSKICH BŁONIACH

Poszły Krakowianki, gdy już zboże zżęto,  
na łąki po kwiaty na Maryi święto.

Bo nigdzie tak błęgiego nie spotkasz ustronia,  
jak na polskich łąkach, na krakowskich błoniach.

Podszedł do nich podróżny, w sandałach na nogach,  
zakurzone miał szaty od pyłu na drogach.

Zbliżył się, po polsku dziewczęta przywitał,  
pogłaskał po główkach i tak je zapytał:

“Dla kogo te kwiaty, dla kogo te wianki?”

“Dla Matki Boskiej Zielnej” — odrzekły Krakowianki.

Aż poznały w nim Chrystusa i zaczęły klękać,  
bo widziały rany na świętego rękach.

Na klęczkach się modliły słowami pacierza,  
a On: “Będziecie miały z Wadowic Papieża” —  
powiedział i zniknął. Krakowianki, w trwodze,  
długo o tym mówiły w swej powrotnej drodze.

W październiku 1978 roku.

## BOŻE NARODZENIE

Nie, to nie stało się tam, tak daleko,  
tu się Jezus narodził, we wsi,  
nad poleską rzeką.

Poszli rybacy więcierze wyciągać z przerębli,  
aż ujrzeli zorzę nad wioską  
i zlekli się do głębi.

Gdy wracali, przed nimi już szli kolędnicy,  
by śpiewać-kolędować Dzieciątku  
i Dziewicy.

I magowie też jechali, szata na nich galowa,  
jeden z Białowieży, drugi z Wilna,  
a trzeci ze Lwowa.

Wieźli różne dary z sobą dla Dzieciątka:  
kołyskę z łożyny, lniane płótno  
i kozuszek z jagniątka.

“Chwała Bogu na wysokości”, słyhać było granie,  
“a ludziom pokój na ziemi”  
niech się odtąd stanie.

## PO MUCH BRZĘCZENIU...

Po much brzęczeniu poznaje się lato  
i po rozkołysaniu ciepłych fal powietrza...

Gdy zobaczysz na drzewie już śliwkę pyzată —  
z naszych pól złocistych, aż do Świętopietrza  
polecą ktoś — z kluczem gęsi w jesieni —  
i osiadzie w Rzymie...

Coś się zmieni,  
bo w Wiecznym Mieście zabłyśnie —  
nasze  
polskie  
imię.

Po much brzęczeniu poznaje się lato,  
a jesień zwiastują przymrozki...  
Mało kto liczył na to,  
że minie monopol włoski.

## CIERNIOWA KORONA

Szedł po ścieżce poleskiej  
wydeptanej stopami,  
kłosy mu się kłaniały  
przy podmuchu — falami.  
Myśli miał wypełnione  
smutkiem poleskiej biedy,  
łzy mu w oczach stawały  
i spływały niekiedy.  
Patrzył na żytne pola,  
na tych wąskich zagonach  
i krwawiła mu głowę  
z ostrych cierni korona.  
Doszedł aż do pastwiska,  
na nim chude krowiny, —  
widać było, że płacze.  
I podszedł do dziewczyny,  
która pasła te krówki —  
bosa, w słońcu spłowiła,  
a gdy do niej się zbliżył,  
to Go zaraz poznała —  
i pomyślała sobie:  
jaka wielka to łaska  
widzieć Go tu żywego,  
a nie tylko w obrazkach.  
Więc, uklękłszy, szeptała  
swe codzienne pacierze,  
a On do niej podchodzi,  
na rękę ją bierze  
i do serca tuli.  
Znikł. Krwi kropla została  
na jej zgrzebnej koszuli.



## ONEGO CZASU...

Zdarzyło się, gdy Maryja  
na nocleg stanęła w stajence,  
spełniły się dni i urodził się  
Synek Najświętszej Paniencie.

Złożyła go w żłobie, przykryła  
sianem, bo nic innego nie miała —  
i taką mu kołysankę  
do snu po polsku śpiewała.

Śpij dziecinko, mój maleńki,  
słodkie oczka zmróż,  
my do domu znów wrócimy,  
gdy się zapiszemy już.

W Nazarecie mamy domek,  
własny, piękny, swój...  
Śpij syneczku, mój maleńki,  
śpij syneczku mój!

Nie odbierze nam nikt domu,  
jak Polsce Polesie, —  
mocą swoją Ty to sprawisz,  
że Bóg zabór zniesie.

## POKLON PASTERZY

Była cisza, nie było ani szelestu,  
a tu ciągnie gromada, może ich ze dwudziestu.  
Sandałami, tak idąc, nocną ciszę posiekli,  
aż się całą gromadą do stajenki przywlekli.

Zdala zorzę widzieli nad bydlęcą stajenką,  
a gdy weszli — Józefa zobaczyli z Panienką.  
I Dzieciątko na sianie, które w żłobie leżało,  
a to siano swym blaskiem niby słońce gorzało.

I dziwili się bardzo, wielkim strachem przejęci,  
wszyscy mieli w stajence aureolę jak święci.  
Poklękali pobożnie, pochyliwszy swe czoła,  
a gdy znowu spojrzeli, zobaczyli anioła.

Słysząc było trąb granie i śpiew polskiej kolędy,  
łopot skrzydeł aniołów, coraz większe ich rzędy.  
“Bóg się rodzi” — śpiewali pięknym głosem anieli,  
choć uważnie słuchali, ale nie rozumieli.

Bo nie znali tej mowy — chyba jakaś z północy...  
Pójdzie w świat ona także, od dzisiejszej tej nocy.  
Betlejemską nowiną, idąc stąd w różne strony,  
powie ludziom, że Jezus, dzisiaj, tu narodzony.

Za zieloności wiosenne  
i letnie kłosiste pola,  
za Twoje prawa niezmiennie —  
niechaj się dzieje Twa wola.

I niech świat to przyjmuje  
z synowskim wiernym oddaniem —  
i niech zatryumfuje  
Twa chwała, odwieczny Panie!

## WIGILIA

Chodzą z gwiazdą, jak cienie,  
"Nocną ciszą" witają,  
betlejemske zdarzenie  
ludziom wszem ogłaszają.

Nazareńskiemu cieśli:  
Syn — stajenka i siano...  
Taką wieść ludziom nieśli,  
w śniegu brnąc po kolano.

W sercach ludzkich się budzi  
jakaś dobroć radosna,  
że już odtąd wśród ludzi  
cały rok będzie wiosna.

W domu drzewko jak panna,  
na nim piękne przybranie,  
a w kościele hosanna  
i rzewne kolędowanie.

Biały obrus na stole,  
jeszcze bielszy opłatek...  
Dzisiaj siano w stodole  
ma biblijny dodatek.

Podnieś rączkę, Dziecino,  
daj im rozum i serce,  
niech już odtąd nie giną  
w międzyludzkiej szermierce.

Biorąc do ręki opłatek —  
w domu, z białego obrusa,  
pomyślcie: — ile jest matek —  
innych, niż matka Jezusa.

## NAUCZCIE SIĘ

Nauczcie się modlić do roślin,  
by się spowiadać przyrodzie, —  
chwytajcie lasu oddechy,  
pijcie malin uśmiechy —  
i życie — w zgodzie.

Nauczcie się modlić w ciszy,  
samotnie, nie w gwarным tłumie:  
pośród stokrotek, złocieni —  
i w krwawej maków czerwieni —  
Boga szukajcie w rozumie.

Nauczcie się łowić zapachy  
czeremchy na wiosnę, a w lecie —  
łubinów, maciejki, rezedy,  
a gdy już umiecie, to wtedy —  
powiem... że żyjecie.

Nauczcie się kochać ojczyznę,  
gdzie matka dała wam życie,  
gdzie wierzby, sosny, topole  
przy drogach — i gdzie pole  
skąpane w ziemniakach i życie.

Nauczcie się śpiewać psalmy,  
nie Dawidowe — swoje —  
do przyleśnego ołtarza,  
gdzie echo śpiew wasz powtarza  
i łagodzi... niepokoje.

Nauczcie się wichrów skowytu,  
okiennic targanych łomotu  
w jesienne wieczory dżdżyste,  
a wiedzieć będziecie dlaczego  
Chrystus umierał w czas grzmotu.

## JAK TO JEST NA TYM ŚWIECIE?

Mokradła — i po nich dziewczęta  
stępują ostrożnie,  
a w oddali, rozpięta,  
sosna rośnie wielmożnie.

Czarne wargi  
i czarne od jagód języki...  
Będą utargi,  
bo pełne koszyki.

Z krowiną na powrozkę —  
baba worek trawy niesie —  
i grudkę świeżego wosku,  
co go w dziupli wybrała w lesie.

Przetopi, świecę ulepi —  
i będzie gromnica święcona; —  
choć teraz czuje się lepiej, —  
nie zgadniesz kto kiedy skona.

A worek plecy gniecie  
z trawą świeżą dla krowy...  
Jak to jest na tym świecie,  
że mało kto na śmierć jest gotowy?

## POEZJA

Wyłynęli rybacy-handlarze  
na połów,  
na morze,  
zarzucili sieci  
i — złowili —  
poezję.

Jeden mówi, sprzedamy.  
Inny twierdzi:  
nie wolno duchem handlować,  
jeśli to duch,  
puścić, niech leci.

A trzeci —  
tak im radzi:  
Zawieźć tę Rusałkę,  
tego ducha bez kości,  
te słoneczności —  
i powrzucać do domów,  
niech i ludzie prości  
mają po kilka tomów.  
Niech zaszumią im falą,  
niech zakwitną im kwieciami,  
niech się serca zapalą  
lepszym życiem na świecie.

## TAMTO WCIĄŻ WRACA

Gwiazdka pierwsza, wieczorna, światłem migająca —  
i siano pachnące, w domu, pod obrusem —  
wszystko to pamięta ta miłość gorąca,  
której pościć kazano do dziś, pod przymusem.

I te janczary, co grały saneczkowym śmiechem —  
i rumieńce tryskające mrozem roześmianym,  
a wszystko to dziś boli zatajonym grzechem,  
jakimś, nieproszonym tamtych lat, kochanym.

To, tak jak widziadła, którymi straszą dzieci: —  
straszne, ale oko chce spojrzeć na to spod powiek,  
tak i pamięć tamta, chociaż ból roznieci,  
ale jej się opędzić nie jest zdolny człowiek.



## KTO?

Ach, ty ziemio, globie nasz,  
kto cię w ruch wprowadził, —  
ile lat ty dzisiaj masz,  
kto cię mgłą okadził?

Kto tych oceanów głęb  
wodą ponalewał, —  
kto tej ornej ziemi zrąb  
tyle naprzesiewał?

Kto nappełnił tyle mórz,  
skąd aż tyle wody, —  
kto nasypał plaże już  
dla ludzkiej wygody?

Kto nakopał tyle rzek,  
tyle gór nakruszył,  
na bieguny wieczny śnieg  
nawiał i naprószył?

Kto tu nasiał tyle traw,  
tyle drzew nasadził, —  
kto wykopał w parku staw  
i wodę w nim wygładził?

Kto księżycem świeci w nocy  
gdy na ziemi ciemno?..  
Udziel, Panie, nam swej mocy  
opieką nade mną!

II  
POLESIE

Wiosną, gdy słowik, w wieczornej porze,  
śpiewem miłosnym wywołać może  
nawet w wygasłych sercach pożary,  
w jakich płomieniach są młode pary?

Miłość — niezmiennie — miejska czy wsiowa —  
swe tajemnice w ciemnościach chowa  
i w młodych sercach płonie jednaka,  
w pańskich pałacach i w izbach wieśniaka.

*(Polesie)*

## CO NAM POWIEDZĄ?

Co nam powiedzą samotne mogiły,  
które za wschodnim parkanem zostały: —  
nagrobki na nich pewno się skruszyły  
i łyzy na tych mogiłach też wyparowały?

Co nam powiedzą owe lasy podszyte,  
do których się chodziło nieraz na wycieczkę —  
i te łąki poleskie, kwiatami pokryte —  
i ścieżki, po których biegało się nad rzeczkę?

Co nam powiedzą zamknięte kościoły  
i lud żyjący bez wzniosłości ducha —  
i te polskie dzieci, których polskiej szkoły  
do dziś pozbawiła wojenna zawierucha?

Co nam powiedzą bracia Białorusy,  
z którymi przez wieki dzieliliśmy kęs chleba?..  
A gdzie są na świecie takie lniane obrusy  
i gdzie jest taki drugi jasny błękit nieba?

## JAKAŻ TAM TRAWA JUŻ WYROŚLA?

Jakaż tam trawa już wyrosła  
na tamtych ścieżkach, gdzie biegałem?  
Nie znajdę już tamtego wiosła,  
którego w łodzi używałem.

I nie ma lampy tej, naftowej,  
przy której Konopnickiej wiersze  
czytałem ja w porze zimowej  
i miałem te wzruszenia pierwsze.

I lasku tego, gdzie po grzyby  
chodziliśmy porankiem, wcześniej —  
też pewno nie ma, bo gdyby  
był, to widziałbym go we śnie.

I nie ma gwiazdki tej, co pierwsza  
wigilię dla nas otwierała...  
O, ja nie skończę tego wiersza,  
bo dusza z żalu zapłakała.

## POLESIE

Kto zna Polesie, ten kraj ubogi,  
słomiane strzechy, błotniste drogi,  
cieniste lasy, wąskie zagony,  
chude krowiny, ubogie plony?

Ludzie tam noszą łapcie łykowe,  
główki dzieciaków jak len są płowe,  
mieszkanie na wsi — to jedna izba,  
a w koło domu jest zawsze przyźba.

Dom wraz z chlewami — pod jednym dachem,  
pokryty słomą, pożaru strachem,  
który im stawia całe wioszczyzny,  
zostawia tylko nagie kominy.

Wóz jednokonny, konik drepczący,  
na wozie, w słomie — człowiek milczący.  
Codzienna troska — i w dzień, i we śnie  
czoło zmarszczkami zryła przedwcześnie.

Z kołków, wiązanych łożą surową,  
płotek przed domem, chroni przed krową  
wiosną — rozsadnik, ręcznie skopany,  
a w lecie — kwietnik, w zielsku schowany.

Co kilka domów — studnia z żurawiem,  
a przy niej błoto — cały rok prawie.  
Ktoś rzuci kamień, a inny kłodę —  
i po tym chodzą ludzie po wodę.

Wyjdzie dziewczyna, krzepka i krasa,  
barwną spódnicę mocno zakasa,  
skrzywnie żurawiem, zaczerpnie wody —  
i z pełnym wiadrem mija przeszkody.

A jeśli wpadnie gdzieś, nieopatrznie,  
to — tak jak miejska — płakać nie zacznie,  
bo Poleszukom, to nie nowina,  
że w błoto wstąpi wiejska dziewczyna.

Chłopak, co pasa bydło lub trzodę,  
wchodzi za stadem do pasa w wodę,  
zagania krówki gdzieś na bagnisku,  
potem się suszy sam, przy ognisku.

Szkoła daleko, trzy kilometry,  
a ubiór lichy, nie znane swetry, —  
mimo to — dzieci, gdy paść przestają,  
do tej dalekiej szkoły “biegają”.

Zimą, saniami — w licznej czeredzie -  
Poleszuk często do lasu jedzie,  
nabiera z sobą owsa i siczki,  
chleba, słoniny, mięsa z owieczki.

Całą noc jedzie długi sznur sanek;  
w lesie zaświta chłopom poranek,  
a po śniadaniu i wypoczynku —  
jadą — aż staną na miejskim rynku.

A gdy się skończy handel jarmarczny,  
wtedy do Berka idą, do karczmy.  
Kilo białego, szklanka gorzały,  
słoniny z torby spore kawały.

Za resztę kupi soli i nafty,  
a czasem także nici na hafty,  
którymi dziewczki zdobią poduszki,  
kołnierze koszul, albo fartuszki.

A czasem któryś, dla miłej Wierki,  
Kupi bułeczkę i dwa cukierki,  
dla baby kupi garnek gliniany,  
albo na mleko dzban polewany.

W niedzielę rano — nakarmią bydło, —  
baba z kuferka dostanie mydło:  
dziś nim się myją wszyscy, w ogóle —  
i nakładają czyste koszule.

Potem — stół w kącie, który się kiwa,  
baba obrusem lnianym nakrywa,  
białym jak papier, własnego tkania,  
do świątecznego prosząc śniadania.

Gospodarz idzie sam do “komory”,  
przynosi chleba bochenek spory,  
“łusty ” odcina, wszystkim rozkłada —  
i wtedy pierwszy do stołu siada.

Baba widłami dostaje z pieca  
garnki ze strawą. Dranką przyświeca  
któraś z jej córek: Nadzia lub Sasza.  
W garnkach potrawy: kapuśniak, kasza.

Inna dziewczynka rozkłada łyżki,  
baba kapustę wlewa do miski,  
ojciec się żegna, za nim rodzina  
i tak śniadanie się rozpoczyna.

Jedzą kapustę i z mlekiem “pszono”,  
lub kartoflanek z mięsem duszoną,  
czasem ołatki, placek gryczany,  
lub z kartoflami barsz zabielały.

A gdy spożyją wszyscy śniadanie,  
wóz drabiniasty przed chatą stanie...  
Kobyłka płowa, duha zdobiona,  
chłop siądzie z przodu, a z tyłu żona.

Czasem i dziecko z sobą zabiorą.  
Więcej nie siada na wóz jak czworo,  
żeby tą jazdą — dziś, na “obiednię”,  
konia nie zmęczyć na dni powszednie.



W cerkwi drewnianej — lud rozmodlony  
żegna się często, bijąc pokłony.  
Nastrój poważny widnieje w twarzach,  
akordy śpiewu dźwięczą w witrażach.

Płomyki świeczek, cienkich jak druty,  
ofiarnie płoną na znak pokuty  
za grzechy wiejskie — kłótnię, niezgodę,  
albo, że bydło zrobiło szkodę.

Płonących świeczek ofiarne blaski  
odpuszcza winy i daje łaski.  
Taka jest wiara wśród Polezszuków:  
dziadów, pradziadów, synów i wnuków.

Jesienią, w wieczór najdłuższy w roku,  
schodzą się w jednej izbie, o zmroku,  
z kilku chat baby i “mołodzice”  
na wieczorynki i “kądzielnice”.

Przychodzą również chłopcy, mężowie,  
niektórzy z mężczyzn jacyś majstrowie,  
plotą koszyki lub wiążą sieci —  
i tak wesoło wieczór im zleci.

Bo przy tej pracy jest i zabawa,  
żarty się sypią jakby z rękawa,  
czasem piosenka o złym Romanie  
na chwilę przerwie opowiadanie.

Czasem się zejdą na wieczorynki  
spragnieni tańca chłopcy, dziewczynki,  
a z nimi przyjdzie z harmonią grajek,  
wtedy już nie ma żartów i bajek.

Taniec, jak furia — zatrząsie chatą,  
poniesie w wirze młodzież skrzydlatą, —  
najczęściej idzie polka siarczysta,  
aż ledwie zdąży grać harmonista.

A gdy przetańczą polki i walce,  
gdy harmoniście zabolą palce,  
wtedy wokoło siądą na ławach  
i w "listonosza" idzie zabawa.

Dźwięczą całusy ogniste w sieni,  
Kości, Nataszy, Koli i Ksieni,  
a w izbie ciekawość lata na wyścig,  
kto ten następny dostanie liścik.

I tak się bawią w wieczór ponury,  
aż zegar wskaże strzałką do góry,  
kończąc tym znakiem dzień i rozkosze:  
do chat swych pójdą spać "listonosze".

Wiosną, gdy słowik, w wieczornej porze,  
śpiewem miłosnym wywołać może  
nawet w wygasłych sercach pożary,  
w jakich płomieniach są młode pary?

Pod starą lipą, gdzieś koło studni,  
gdy wieś po pracy już się wyludni,  
młodych serc dwoje w nocy się schowa  
i szepczą sobie miłosne słowa.

W mroku szczytnieją zielone drzewa,  
na nich — wśród ciszy — słowik zaśpiewa:  
ptaszyny trele echo pomnaża  
i czar rozkoszy kochankom stwarza.

Miłość — niezmiennie — miejska czy wsiowa —  
swe tajemnice w ciemnościach chowa  
i w młodych sercach płonie jednaka,  
w pańskich pałacach i w izbach wieśniaka.

Praca wieśniaka — z rana do zmroku —  
zawiera także wiele uroku:  
sianokos, żniwa lub orka pługiem  
tchną czarem bajki na wschód za Bugiem.

Gdy łąka rano perli się rosą,  
kosiarze rzędem tną trawę kosą,  
ścielą się równo wonne pokosy,  
a między nimi widać ślad bosy.

Kapelusz z słomy, koszula lniana,  
wzorem z krzyżyków wyhaftowana.  
Kontrast jej bieli z łąki zielenią  
ranne promienie z lekka rumienią.

Parują plecy, ocieka czoło,  
a kosa w trawie śmiga wesoło...  
Czasem przystanie nabrać oddechu  
i stalowego narobi śmiechu.

Gdy osełkowych skosztuje pieszczot,  
słowiczym śpiewem zagra jej brzeszczot.  
Słyszac to, trawa — w strachu się jeży,  
a kosiarz wzrokiem odległość mierzy.

W pracy na roli, na wschód za Bugiem,  
nie ma traktorów. Poleszuk pługiem,  
idąc zgarbiony, skiby obraca.  
Znojna i ciężka jest jego praca.

To nawóz wozi, to ziemię orze,  
kartofle sadi, lub sieje zboże.  
A gdy nadejdą upalne żniwa,  
wtedy nikt w domu nie odpoczywa.

Śpieszą użątek sprzątać przed deszczem  
i — spoglądając w chmury złowieszcze —  
oblani potem, wozy ładują,  
które pośpiesznie do wsi wędrują.

Jeszcze się wszystkich nie zwiozło snopów,  
już nowa praca czeka na chłopów:  
drugie pokosy i podorywki,  
szarpią wieśniaka wciąż na rozrywki.

Baba wciąż nagli len wieźć na rzekę,  
a tu opatrzyć trzeba pasiekę,  
żyta namłócić, sprzedać na długi  
i zreperować brony i pługi.

Ledwie Poleszuk z tym się upora,  
orki jesiennej nadchodzi pora.  
Znowu wóz trzeszczy pod furą gnoju,  
znowu chłop z babą pracują w znoju.

A gdy zaorze pole w zagony,  
gromadą wielką zlecą się wrony  
na wsianym ziarnie śpiesznie żerować,  
więc to go zmusza prędko bronować.

Wreszcie — gdy skończy orkę i siewy —  
musi opatrzyć na zimę chlewy,  
wozić ziemniaki, szarwark odrabiać,  
a w wolnym czasie — na sól zarabiać.

Czasem Poleszuk, nędzą ściśnięty,  
któremu bieda wchodzi na pięty,  
zbierze na drogę pracę wytrwałą  
i w świat daleki puszcza się śmiało.

Zanim tam pozna mowę, zwyczaję, —  
te, zagraniczne, przebiegłe kraje —  
pijawek setki puszczą na niego  
i chłopą zmęczą do upadłego.

Ciężko pracuje, odkłada grosze,  
z których rodzinie wciąż śle po trosze,  
a w listach stale pisze do żony,  
by kupowała nowe zagony.

A gdy nazbiera parę tysięcy,  
wtedy porzuca “pokój książęcy”  
i do swej ziemi, rwany tęsknotą,  
wraca na swoje poleskie błoto.

I w prędkim czasie, gdy grosz przepije,  
znowu, jak przedtem, po chłopsku żyje,  
wdzieje z powrotem świtkę łataną  
i jego mądrość chwalić przestaną.

Znowu gnój wozi, znowu niedola,  
tylko, że teraz ma więcej pola,  
ma już czym duszę cieszyć, weselić  
i ma co dzieciom swoim podzielić.

Takie jest życie chłopów poleskich  
od urodzenia, do bram niebieskich,  
do których pewnie wiedzie ich droga,  
bo trudy znoszą i wierzą w Boga.

## BAJKO MOICH WSPOMNIENÍ!

Polesie. Polski stara miedza barwna,  
bagienna połać zadumy i czaru,  
prostotą szczerą i bajką figlarną,  
urzekająca dzikością moczarów!

Wozami skrzypiąca i bydła porykiem,  
śpiewem basów cerkiewnych aż po brzegi pełna,  
nocami kołysana poleskim słowikiem,  
Iny twoje przędzywo, na zimę owcza wełna.

Płowe włosy chłopaków i dziewcząt warkocze  
i teraz widzę jasno, mimo lat upływu —  
i widzę jak się żuraw przy studni chybocze —  
i słyszę śpiew żniwiarek — i rosnę z podziwu.

O, bajko moich wspomnień, poleska kraino!  
ludu zamyślony, w ziemi zakochany!  
Do ciebie moje myśli z tej oddali płyną, —  
zewnątrznie jestem spokojny, a w sercu splakany.

## TAM, GDZIE CHODZIŁEM

Tam, gdzie chodziłem  
po mchach i po piaskach,  
po leśnym pośłaniu —  
tam żyłem  
w promienistych blaskach  
w lat moich zaraniu.

Tam moja dusza,  
spłakana i biedna,  
milczeć siebie zmusza  
i skrada się tajemnie —  
tylko sama, beze mnie.

Przeleci ulicą,  
w studni dzień przesiedzi,  
z cicha tam pochlipie  
(żał ją gryzie bólem) —  
jak tam jest — wyśledzi,  
schowana za ulem,  
albo też za płotem,  
znów w niewidkę się zmieni —  
i jest ze mną z powrotem.

## LEŚNA SYMFONIA

W lesie zawsze jest spokój, i to w każdym lesie,  
tylko ptaków pogwizdy i krótkie przeloty;  
kto ma ból na duszy — niech do lasu niesie,  
wszystkie niepokoje i wszystkie zgryzoty.

Usiądź sobie pod sosną, prostą czy garbatą  
i licz na drzewie szyszki zwisające,  
a sosna ci przywróci cały spokój za to,  
za twoją miłość do niej, za słowa gorące.

Są tu i ptaszki, co się uczą lotu,  
takie słabe, niezdarne, ptasie niemowlęta:  
nie pozwól je porwać tu leśnemu kotu,  
ich matka ten czyn twój wdzięcznie zapamięta.

I słuchaj dzięciołów jak takt wybijają,  
jakby dzwonią klekotką tuż przed Wielkanocą,  
aż nabożnie wsluchane zające klękają,  
a leśne gołębie skrzydłami łopocą.

I to jest ta muzyka, która ciszą zwie się,  
bo nie ma tu gwaru, ni sygnałów miasta,  
nerwy ci odpoczną w wędrownicy po lesie,  
a twą pierś napełni symfonia iglasta.



## GARŚĆ WSPOMNIENÍ

Zabolało —

i ból się przekształcił w chroniczny...

Pachną mi wrzosa nocami

i grzyby widzę rankiem na rosie: —

taki jest mój los zagraniczny.

A przecież tam —

zrywało się dojrzałe jabłka z jabłoni,

garść słodkich węgierok ze śliwki,

albo porzeczek dojrzałych kiści...

A tutaj? Owoce nie pachną —

tylko piecze — peperoni.

A tam, bochenki —

z chlebowego pieca świeżo wyjęte —

pachniały mi. Razem z życiem

ten zapach jeszcze koczuje

i trąca o struny pamięci —

napięte.

I strumyk —

tam pluskał po kamykach,

a w nim gwiazdy — w ciemnościach —

zniekształconym światełkiem błyskały...

I dziś mi tamto światło —

to błyska, to znika.

O, ból ten

nie wygasa w tej piersi,

pełnej dymów i czadu: —

tak się chce odetchnąć puszczańskim powietrzem,

ale tego tu — ani śladu.

## MÓJ DOM

O, ziemio poleska, w puszczech zagnieżdżona,  
ty mi stajesz w pamięci po nocach i we dnie,  
grzybami pachnąca, zielenią nasycona,  
do ciebie myśl moja wciąż wraca bezwiednie.

Myślami tam błędę nad Jasiołdą i Piną,  
po Muchawcu pływam łódką płaskodenną —  
i te wszystkie widoki z oczu mi nie giną,  
choć jestem zajęty swą pracą codzienną.

Wrzosowisko mi pachnie, a na brzegu lasu  
widzę malin kępkę, tam, pod starym borem, —  
poszedłbym z koszykiem, lecz dziś nie mam czasu,  
a wtedy dość było, w dzień i przed wieczorem.

Spod miedzy wyskoczył duży zając-szarak  
i pokucał skokami wprost do lasu, w krzaki...  
Piosenka to prosta i jak świat jest stara,  
że spod miedzy wyskakują zające-szaraki.

Ale dziś, tu, w tym dymie i jazgocie maszyn,  
tamte leśne wspomnienia o zajęczych skokach,  
są tym ukojeniem i szczyptą okraszyn  
na nerwy stargane w fabrykach i dokach.

A ileż było tajemnic w poleskich moczarach,  
gdzie kwitła pełna wolność ptactwa i zwierzyny, —  
gdy ranek wstał po nocy we mgłach i oparach  
i słońce suszyć zaczęło mokre listki olszyny?

A czyż to nie poezja to ranne grzybobranie?  
Mokre gałązki sosny rosą cię przemoczą,  
snu nocy sobie urwiesz, bo wcześniej się wstanie,  
ale w koszu masz grzyby — zbierasz je ochoczo.

I liczysz borowiki — na sztuki, na kopy,  
a w oczach stają ci grzyby, nawet później, w domu.  
Dziś, z dala od Polesia, od całej Europy,  
jeszcze się je widzi — dziecinnie, pokryjomu.

I widzi się te czajki, pobudkę grające —  
i błotnych piosenkarzy, cietrzewie na tokach,  
stadko śmigłych cyranek nad bagnami mknące  
i szare gęsi w jesieni, wysoko, w obłokach.

I gdzie tu szukać prozy w tych bagnach i mszarach,  
w każdym calu poezja tu kwitnie i żyje,  
płyniesz łódką po rzece, schowany w szuwarach,  
a wszystko dookoła — poleskie i niczyje.

Poleszuk jest tu panem i tych bagien księciem,  
zaślubiony z lasem, z niedostępną rzeką, —  
cichy mocarz natury, przekonany święcie,  
że Polesie dla niego — i domem i Mekką.

## SZARA GODZINA

Czeremchowe zapachy tuż przed Wielkanocą —  
i jabłka — już pod jesień — co się w słońcu złocą,  
i rosa poranna, co na trawie leży,  
i klekot bociana na dachu stodoły,  
i pogwarki dzieci, idących do szkoły —  
to stoi mi w myślach. Ktoż w to nie uwierzy?

A lubię, po pracy, w tę szarą godzinę,  
gdy słońca już nie ma i niebo jest sine,  
bez światła i w ciszy — wiercie czy nie wiercie —  
siedząc tu w fotelu, w dal myślami gonić,  
guziki naciskać i do domów dzwonić,  
nie tu, a w moim na Polesiu mieście.

Lubię w sadzie pochodzić, posłuchać pszczoł brzęku,  
muchy wypuścić na wolność, uwieźle w okienku,  
ptakom ziarna sypnąć, usiąść na ławeczce,  
zapachami się sycić, pierś napełnić do dna —  
i siedząc, patrzeć w gwiazdy, chociaż noc jest chłodna,  
a potem to zapisać w tej mojej książeczce.

Aż maciejka zapachem silnym mnie odurzy —  
i aż dusza się zabłąka w astralnej podróży,  
aż zabłądzi, strwożona, za sąsiada miedzę,  
na łąn fałujący od wiatru podmuchu  
i z podziwem stanie w zadumie, bez ruchu...  
W pokoju już jest ciemno, a ja w fotelu siedzę.

I cóż mi te mirażę, te myśli płochliwe  
i tamte obrazy, co mi stają żywe?  
Nie ujrzę już rosy, ni wron na ścierniskach,  
ani tych zakątków, gdzie biegałem wolno  
podczas przerwy w szkole razem z dziatwą szkolną,  
w pamięci tylko stają te miejsca i nazwiska.

## SIANOKOS

Wyszedł rano, o świcie, na zieloność łąki,  
stanął twardo na gruncie, rozejrzał się w koło,  
wsparł się mocno o kosę, poprawił pałaki —  
i osełką na stali zagrał pieśń wesołą.

Była to pieśń odwieczna, nigdzie nie pisana —  
i tak z serca płynąca, że aż niebo wzruszy,  
a on — wzrokiem monarchy — liczył kopy siana,  
które łąka mu wyda — i cieszył się w duszy.

Lewą ręką po kosie — jak po skrzypkach biegał,  
niby mistrz na koncercie, a prawą — jak smyczkiem,  
w dźwięki stali wsłuchany, nawet nie spostrzegął,  
że aż żaby pobudził, śpiące pod strumyczkiem.

Las, zdumiony melodią, wstał i przetaił oczy,  
śpiesznie myje się rosą, poprawiła fryzury,  
młodsza dziatwa sosniana zrywa się i tłoczy  
przy swych matkach i główki podnosi do góry.

Tam wiewiórka skoczyła ze starej świerczyny  
na sosnę przygarbioną — i tańczy oberka,  
a tu — para gołąbków — niby w zaręczyny —  
grucha kosie do wtóru i nieufnie zerka.

A skrzypkowie na kosach: pierwszy, drugi, trzeci —  
zagrywają łąkowe melodie z nuty rosy,  
słońce im na nuty ostrym kątem świeci,  
a zapłata dla nich — te wonne pokosy.

## PO ROSIE

Bywa, że czasem, rosą owiany,  
gdy wyjdę z domu, rankiem, o świcie,  
przypomni mi się — Boże kochany —  
młodzieńcze życie.

Każdy krzak wtedy śmiechem mnie witał,  
wróble ćwierkały nad mokrym dachem,  
a radość życia — ta, niespożyta —  
rosła z rozmachem.

Rosa się lśniła w porannym słońcu  
kulkami wody świeżo skroplonej,  
w głębi ogrodu, na samym końcu —  
krakały wrony.

Rośliny, wdzięczne ożywczej rosie,  
czekały pierwszych słońca promieni.  
Komu to mówić, czy temu kto się  
wstać rano leni?

Biegaj o świcie po trawie boso,  
w stopach poczujesz przyrodę całą,  
a gdy zaziębisz się chłodną rosą —  
biegałeś za mało.

## CHŁODEK CIĘ WYPIEŚCI

W lesie jest cicho, choć w czuprynach szmery,  
a tylko pod stopami to podszybie chrupi, —  
las chucha zdrową wonię nam do atmosfery,  
takich wonnych oddechów w mieście się nie kupi.

Więc bogać tu siebie wśród leśnych odnajdywać,  
siebie w lesie poznaj i zawrzyj przyjaźń leśną,  
pod stopami masz ściółkę jak puszysty dywan,  
czyż nie dobrze tu chodzić z malinową pieśnią?

Ucz się śpiewu leśnego, ucz się koron szumu,  
spisuj hymny leśne i zielone psalmy,  
od tych drzew stuletnich naucz się rozumu,  
bo ten rozum leśny jest prawie sakralny.

Chłodek cię wypieści jak matczyną dłonią,  
znajdziesz tu przyjaciół, jak nigdzie wśród ludzi,  
las ciebie uleczy swą iglastą wonią  
i do życia lepszego twe serce pobudzi.

## ŻYTO

Posiane i rośnie.  
Nie wiem, czy każdego,  
bo mnie żyto urzeka.  
Powszedni chleb w kłosach.  
Roku dosiego!  
Pokarm człowieka.

A faluje łąn zboża w polu —  
jak rzeka,  
jak woda, —  
a rolnik modli się,  
— gdy zbiorów czeka —  
by była pogoda.

Zebrał.  
Wiezie,  
śpieszy schować w stodole,  
bo burza,  
bo błyska.  
Ptaki chmurą zlatują się w pole —  
na ścierniska.

Omlócił  
i już ma na stole  
świeże razowca bochenki.

Kto lubi chodzić często w pole,  
ten zna sens tej piosenki.



## CHATA

Tyś mu na całe życie — i schron, i siedziba,  
malwami ubarwiona, przytulna ostojo,  
miła jesteś rolnikowi jak za pługiem skiba,  
nie trzeba go się pytać czy ceni chatę swoją.

W chacie jest historia urodzin i śmierci,  
szczęście życia rolnika też w izbie się gnieździ,  
tu spędza swego wieku aż całe trzy ćwierci,  
stąd do cerkwi, do miasta i do lasu jeździ.

W chacie radość codzienna, lub też przypadkowa,  
jaka bywa i ile — niech zaświadczą belki,  
które widzą z wysoka jak szczęście się chowa  
i jak się je wypija do ostatniej kropelki.

Wszystko co się odbywa pod strzechy nakryciem,  
wszystkie troski, nadzieje i uroczę chwile,  
są dla domowników najkrańszszym życiem,  
które nawet po latach wspomina się mile.

Tutaj lata dziecinne, wiek złoty, siwizna,  
tutaj twarze się marszczą i plecy garbieją,  
ale chata jest miła i każdy to przyzna,  
że okna jego izby do rolnika się śmieją.

Chata jest przystanią do grobowej deski,  
codziennym odpoczynkiem, przygodną uciechą...  
Tak piszę, bo tak myśli cały lud poleski,  
że mu żyje się mile pod słomianą strzechą.

## KONCERT

Na dachu siądzie ptaszek, a człowiek pod dachem,  
powój na ganku aż pod strzechy pnie się —  
i za słomę się łapie w powojowym zakresie.  
Wioska słomy nie zmieni na gonty czy blachę.

Na odwieczerz, gdy słońce stoczy się w topole  
i gdy krowy z porykiem do obór się zbliżą,  
matka, w domu, — już z gotową spyżą,  
z radością, zgłodniałych przywita przy stole.

A gdy wieczór gwiazdzisty stanie w okolicy,  
na ganku, ze skrzypcami, na sosnowej ławie,  
siądzie syn gospodarza, a w krąg, na murawie,  
przykucną, by posłuchać, inni domownicy.

I popłynie muzyka w wieczorową ciemność:  
krakowiaki, oberki, ckliwe kujawiaki, —  
aż w ogrodzie, przy chacie, roztańczą się maki.  
Taką ganek daje wieczorem przyjemność.

## DOM

Założyli przyciesie, wiozą bale.  
Zwożą radość, którą cieśle  
czterema ścianami otulą  
i szczęście wżegnają modlitwą swej pracy.  
Ludzka nadzieja mieszkać tam będzie,  
chlebem izba zapachnie,  
kapustą — komora.

Dom łatwo jest zbudować  
i otoczyć go zorzą,  
a jak go cenić,  
wiedzą tylko ci,  
co orzą.

I jaskółki,  
zmiany pogody barometry latające,  
lubią żyć przy ludziach,  
pod strzechą,  
dla rozmnażania.

Otulony cieniem sadu dom —  
serce rozgrzewa zaciszem,  
radością jego istnienia  
i szczęściem —  
posiadania.

## WIATRAK

Rogate sklecenie skrzypiące,  
co na odludziu stoisz,  
powiedz, jak ci tam idzie,  
czy się stać w polu nie boisz?

Wetknęli cię do ziemi  
dębowym kosturem  
i nakryli jak karczmę  
gonciany kapturem.

Skrzydlatym cieniem — każdego  
ty straszysz,  
metry mąki wypluwasz  
i worki kaszy.

Wiatrom stoisz oporem  
i wciąż ci ich za mało,  
chcesz, by bez przyrwy  
serce ci kołatało.

Pragniesz, by kamień się kręcił,  
by mączyło się ziarno,  
by w domu pachniało ciastem  
i było gospodarno.

Lecz wiesz, że nie tylko od wiatru,  
mój ty skrzydlaty rozczapie,  
lecz dzięki myśli człowieka —  
ty się kręcisz i sapiesz.

## SPACER

Kroki po ścieżce, z przystankiem,  
pies biegnący truchcikiem,  
trawy pachną porankiem,  
kawki z kawkowym krzykiem.

Powiew ciepła od stodół,  
pień ściętego drzewa, —  
coś skoczyło spod spodu  
i jak może tak zwiewa.

Niebo żarem przypieka  
i nie bardzo pojmuje  
wałęsanie człowieka,  
że w dniu pracy — próżnuje.

Spacer taki — to gratka,  
gdy czas na to pozwala...  
Idzie dzieci gromadka,  
poznał znajome z dala.

Teraz idzie z powrotem...  
Ktoś wiezie furę siana.  
Koło domu, za płotem,  
ktoś przywiązał barana.

Stoi ze łzą w oku — solną,  
aż do płaczu zbeczany,  
że ktoś chodzi wolno,  
a on przywiązany.

## CHLEB W DRODZE DO DOMU

Słysząc na drodze kół klekotanie  
od ciężaru na wozie snopów i nadziei,  
z oddala dolatuje czarnych wron krakanie  
i jakieś poryki z oddalonej kniei.

Ziarno na siewy i na chleb powszedni  
do stodoły zdąża. Słońce ponagla:  
śpieszcie się ludzie. Będziecie biedni  
gdy burza nadejdzie z niebieskiego magła.

A tam, daleko, za tym wielkim borem,  
jasność się zmienia w czarną chmurę już  
i nawet zagrzało, jakby stuk toporem,  
wiatr zadął i deszcz — prawie tuż, tuż...

Koń ciągnie. Skrzyp wiązadeł wozu  
dolatuje aż do pierwszych we wsi chat...  
Rozwiązał się jeden koniec powrozu  
i snop zboża aż na ziemię spadł.

Koń stanął. Zaczęło się poprawianie.  
Pot strugami spływa po zakurzonej twarzy,  
coraz bliżej słysząc grzmotów granie...  
do pomocy nadeszło paru gospodarzy.

Jeszcze chwila i już wiatr sypnął piaskiem,  
aż schnąca bielizna poleciała w pole, —  
kropi już deszcz i grzmot uderzył z trzaskiem.  
Na szczęście — wóz już był w stodole.

## DOBRZE NA WSI

Mieszczuchowi dobrze na wsi,  
wokół zieleń, kwiaty, drzewa,  
nie ma tego nigdy w mieście,  
tu mu każdy ptaszek śpiewa.

I powietrze może wdychać  
kiedy chce, rankiem czy w nocy, —  
może tu naprawiać zdrowie  
i nabierać sił i mocy.

Może grzać się gdzieś pod ścianą,  
może leżeć na hamaku,  
czytać książkę przywiezioną,  
wyszukiwać w mleku smaku.

Albo w nocy, kiedy niebo  
makiem upstrzy się gwiazdami, —  
usiąść z nią gdzieś na ustroniu  
i mieć pewność, że są sami.

## ZABUŻANKA

Wieś mała, Zabuzanka —  
rozsiadła się przy samej szosie,  
dlatego, któregoś ranka,  
samochód przejechał prosię.

We wsi jest jedna ulica,  
wiatr z niej liście wymiata —  
tak, jak busoli iglica —  
wskazuje dwie strony świata.

Z obu stron tylko pole:  
żyto, jęczmień, pastwisko,  
a tuż przy ostatniej stodole —  
dla całej wsi kartoflisko.

Wzdłuż długiej wiejskiej ulicy  
sześć studni i tyleż żurawi,  
pod lasem jest źródło krynicy,  
ukryte w zaroślach i trawie.

Stąd woda rowkiem wypływa  
i tworzy przy drodze stawek,  
przy stawku rośnie pokrzywa,  
a w wodzie jest sporo pijawek.

Wieś ma swą szkołę powszechną  
z nauczycielką jak wiosna,  
wszyscy się do niej uśmiechną,  
gdy przyjdzie pomagać snuć krosna.



Ona i ludzie tej wioski,  
to jedna zgrana rodzina,  
ona rozumie ich troski  
i wieś ją rozumieć zaczyna.

Tak żyje ta Zabużanka,  
ludzie wciąż zamożniejsi,  
Nauczycielka — Krakowianka,  
a oni? Tutejsi.

## RYBAK

Nad Jasiodłą słońce świeci,  
choć gdzie indziej chmury...  
Stary rybak suszy sieci,  
rozplątując sznury.

Usiadł sobie przy ognisku  
grzać ręce zgrabiące...  
Mgły osiadły na ściernisku,  
szarawe, nie białe.

W rzece karpie i okonie,  
liny i szczupaki...  
Rybak wie, że w innej stronie  
żyją w rzekach raki.

Dzisiaj wyszedł z domu rano  
by sieci posuszyć,  
lecz uderzył się w kolano,  
że nie mógł się ruszyć.

Ból już minął mu zupełnie,  
ten pierwszy i ostry...  
Na południe dziś, niedzielne —  
pójdzie do swej siostry.

Sam jest w domu jak ten palec,  
zostać sam się boi,  
trzeba się do siostry zawlec  
tam się noga zgoi.

Po południu był w jej chacie,  
choć długo kuśtykał.  
“Co ci jest — spytała — bracie?”  
gdy już drzwi zamykał.

“Uderzyłem się w kolano  
o krawędź mej łodzi,  
zrazu ostro zabolalo,  
ale już przechodzi”.

Tydzień chyba leżał u niej  
pod siostry opieką,  
najpierw jadał co mu dała,  
w końcu — tylko mleko.

Aż pewnego dnia, nad ranem  
poprosił o świecę  
i powiedział: “Widzę bramę,  
już do nieba lecę”.

W trzy dni później już go wieźli  
na cmentarz — w małej łodzi,  
bo ten rybak w życiu więcej  
pływał, niżli chodził.

## GRUDNIOWE MARZENIA

Nagrzały się domy,  
ostygła ulica,  
otwarta już roku  
ostatnia stronica.

Biegają, chuchają,  
drepczą jak perliczki,  
a mroźne podmuchy  
rumienią policzki.

Na oknach omarzłych  
gwiazdek i mietlicy  
tyle, że przez szyby  
nie widać ulicy.

A sople pod dachem  
jak parkan szczerbaty.  
Dobrze wejść do domu  
i napić się herbaty.

Przyjemnie też w łóżku,  
gdy mroźny wiatr wieje,  
okryć się, noc przespać,  
aż ranek zadnieje.

Wstawać bez pośpiechu  
i napić się kawy,  
z flintą pójść do lasu  
na pierwsze obławy.

Ustrzelić zająca,  
gdy na strzał wyskoczy —  
i wrócić do domu  
do złotych warkoczy.

Ocieplić się wzrokiem,  
uśmiechem perlistym —  
i znowu się przespać  
w ciepłym łóżku czystym.

## WIERZĘ

Ja już pieśnią nie jestem,  
ani zbiornikiem śpiewu,  
tylko liści szelestem,  
żniwem dawnego siewu.

Jestem dawną pamięcią  
spisaną na papierze  
i opatrzoną pieczęcią  
na zbiorze, nazwanym "Wierzę".

Wierzę w ptaków ćwierkanie,  
wierzę w wolność zwierzyny,  
wierzę w czyste kochanie  
i w dziewiczość dziewczyny.

Wierzę w bochenek chleba  
na stole u rolnika  
i wierzę, że do nieba  
nie przyjmują grzesznika.

Wierzę w majestat lasu,  
królestwo spokoju i ciszy,  
gdzie tylko od czasu do czasu  
przelot ptaka się słyszy.

Wierzę w jaskółcze gniazda  
pod strzechą gdzieś przylepione  
i wierzę, że jasna gwiazda  
zaświeci i w naszą stronę.

## SADZAWKA

Maciej stary na sadzawkę chodził moczyć nogi,  
woda mu chlupała chatą i skrzypem podłogi.

Czasem siedział i godzinę na pieńku przy wodzie,  
dobrze mu tu było myśleć przy pięknej pogodzie.

Czasem widział w wodzie żonę, synów jak niedźwiedzie,  
to znów jak z Maryną swoją — on do ślubu jedzie.

Patrząc w wodę falowaną, widział na niej błyski,  
a na falach, jakby były — dwie dzieci kołyski.

Popa ryza tak błyszczała, jak ta woda w stawie,  
kiedy słońce gra na falach i na mokrej trawie.

Stali wtedy razem w cerkwi i trzymali świece;  
pop powiedział, że oddaje ich boskiej opiece.

Ta opieka jednak była jakoś niezbyt święta,  
bo Maryna w trzy miesiące powiła bliźnięta.

Dwie kołyski w ich chałupie od sufitu zwisło,  
a Maryna wraz odeszła — i ich szczęście prysło.

Chłopcy jakoś się chowali, pomogła rodzina...  
Teraz jemu staje w oczach ostatnia godzina.

“Jeszcze tylko przytuliła Borysa, Grzegorza  
i zamknęła oczy szklane — moja żona hoża”.

I spłynęły dwie łzy słone po Macieja twarzy.  
On tak często w samotności o Marynie marzy.

## NIKODEM

Wieczorem, gdy żar zelżał i powiało chłodem,  
lubił usiąść na przyzbie wiekowy Nikodem,  
zagłębić się w zadumę, w to co jest zagadką,  
a często mu się myślało — i lekko, i gładko.

Więc myślał, że śmierć, zanim kogo zoczy,  
najpierw mu zagładnie w podstarzałe oczy,  
przytępi wzrok, świat zamgli uwiędłym myśleniem  
i starość przypomni jakimś innym cierpieniem.

Że nauczy człowieka siedzieć zamiast chodzić  
i że coraz bardziej, co zje, zaczyna mu szkodzić,  
że plecy, dawniej proste, w kabłąk mu przyniecie  
i tak zasępi, że nawet żyć nie miło na świecie.

A dawniej było inaczej — myślał dalej Nikodem —  
hulało się i tańcowało, gdy było się młodym,  
a jak czarkę się wypiło, czasem, z kompanami,  
to aż iskry się krzeszało w tańcu podkówkami.

A ileż to się miało bez musu ochoty,  
wstawszy rano, przed świtem, do dziennej roboty!  
Szło się z kosą na łąkę, słońce złotem grało,  
najpierw zorzą dziwiło, nim się pokazało.

A gdy siano suszyli, składali w kopice,  
to czyżbym nie przyhołubił moją anielicę?  
A hołasz ona była — żony moja miła!  
Et, co tam przypominać — odeszła już siła.



## SOFIJA

Sofijo kwitnąca, barwna jak malina,  
jeszcze żadnej troski twoje serce nie zna,  
przy starych ty sosnach jak młoda sosnina —  
żyjesz sobie — wolna jak ptak, niezależna.

Jeszcze swą dojrzałość masz tylko dla siebie,  
jędrne piersi kusząco wystawiasz na podziw,  
nie ma tego w tobie, co jak ziarno w glebie  
kiełkuje i plon daje, nowe życie rodzi.

Świat dla ciebie, to tylko zabawa i figle,  
nie znasz jeszcze uczuć ciężaru w twym łonie.  
Dziewczyno, nadejdzie czas odsunąć te rygle  
i miłość mu okazać, gdy serce zapłonie.

Zwiędnie pierś, przytulisz ręką swe dziecię —  
i potoczą się rzędem noce niedospane,  
potem — jak to bywa — przyjdzie drugie, trzecie,  
a przedwiośnie w snach tylko będzie pamiętane.

Potem — twarz twoja, dawniej rumiana i gładka —  
zmarszczkami się pokryje, a oczy blask stracą:  
dziewczęta nie myślą, że życie to zagadka,  
za rozwiązanie której — młodością zawsze płacą.

Tak cię widzę, Sofijo, rozkoszna dziewczuszko —  
i chcę ci to powiedzieć moim wierszem, właśnie,  
że jeżeli na drzewie i zostanie to jabłuszko,  
to dzisiajśwa twa uroda też zblednie i zgaśnie.

## MAJ

Przyszedł maj — z różową majową jutrzenką,  
coś się w niej zbudziło, bo była panienką.  
Chodziła po polu, po łące i lesie —  
i mówiła: “Nie wiem, ale czegoś chce się”.

Czasami dochodziło wprost aż do rozpacz  
i jeszcze nie wiedziała co to wszystko znaczy,  
Bywało, że płynęły łzy w kaskadach śmiechu,  
to znowu coś kusiło do jakiegoś grzechu.

Maki jej się śniły — kwitnące szkarłaty,  
to znowu — jak na obrazku — Bóg, stary, brodaty.  
Garściami maki rwała, tuliła do łona...  
Aż Bóg palcem pokiwał i... zbudziła się strwożona.

Śniło się też czasami, że chłopak przychodził  
i chciał ją pocałować, ale Bóg przeszkodził.  
Zawsze, jak na obrazku, pełen groźnej miny, —  
nie miała gdzie się schować, tak pilnował dziewczyny.

Aż, pewnego razu, — zjawił się jak zorza —  
Janek, harmonista z bliskiego Zadworza.  
Najpierw stali pod wiśnią, która kwitła właśnie —  
i mówili — o niczym, ot — jakieś tam baśnie.

Późny już był dzień, na schyłku, gdy noc prawo bierze  
gdy matka poprosiła ich do chaty na wieczerzę...  
Potem miłość wyznali, na ławeczce, koło chaty —  
i Bóg im nie przeszkadzał, choć nadal był brodaty.

## LEBIODA

O, ty, manno niebios,  
strawo głodnych,  
witamino!  
Roso i nadziejo tych,  
co bez chleba  
giną!..

Chenopodium album,  
Lebiodo!  
Komoso!  
chwast...

Żyjesz bez uprawy  
i czekasz wojny i głodu,  
kiedy —  
wielmożniejesz,  
bo wtedy,  
chenopodium album —  
to już łyżka strawy.

Gdy na przednówku  
pustka zaskomli w komorze  
i wiatr zahula w stodole,  
lebioda-samarytanka  
już nie jest chwastem:  
zjawia się w zupie  
na stole.

## SŁÓW MIĘCZAKI CHWYTAĆ

Jeżeli chcecie kupić ten cień pod kasztanem,  
to nie ode mnie, bo go wam nie sprzedam,  
umówiłem się z tutejszym księdzem plebanem,  
że ten cień mam dla siebie i nikomu nie dam.

Stąd widok mam na strumyk, jasny i srebrzysty  
i na łąkę zieloną aż po lasu brzegi,  
na młyn wodny, nad którym stoi tuman mglisty,  
na wierzb starych przy drodze dwa długie szeregi.

Gdzie mi będzie lepiej, niż tu, pod tym drzewem,  
pod kasztanem, w cieniu słów mięczaki chwytając,  
ozdabiać je ptaków całodziennym śpiewem,  
żeby ludzie już mogli ptasi śpiew przyczytać.

Co mi strofa się zbierze — zaknę ją w niezmiennosc  
dodam blasku i sercem własnym ją przykryję, —  
zapiszę, przeczytam — i mam tę przyjemność,  
że to jest tylko moje, moje — i niczyje.

## Z LUBOŚCIĄ

Z lubością chodzę zawsze po miejscowych lasach,  
gdzie i drzewa karłowe i olbrzymy mocy...

Usiądziesz i patrzysz jak po lesie hasa  
wolny zwierz leśny — od rana do nocy.

I pszczoły w barciach królują beztrwożnie:  
skąd się bierze pożytek dla tak licznych rodzin?  
I tak nastrojony w tym lesie pobożnie,  
siedzisz i wcale nie liczysz tych godzin.

A godziny płyną jak ten strumyk w górach,  
bo i tam się zagłada, idąc z leśnej głuszy,  
a bociany krążą wysoko, aż w chmurach —  
i, patrząc na to z lubością, odradzasz się w duszy.

I to jest ten sakrament leśnej chwały Boga,  
kolebka powstawania i mogiła końca,  
bez tego serce puste i dusza uboga,  
gdy się nie korzysta z dobrodziejstwa słońca.

## GNIAZDA JASKÓLCZE

To nie jest urojenie,  
to było miasto:  
ściany, dachy, okna,  
takie domy przytułcze —  
i sklepy, i urzędy —  
i gniazda jaskółcze.

A ile było tych gniazdek  
pod dachami?  
Policzcie sami,  
bo mnie pamięć myli,  
tak dawno to miasto  
myśmy — stracili.

Nas tam nie ma,  
a jaskółki tam nadal  
te gniazdzka lepią  
i wysiadują pisklęta.  
Po tym co było  
już nie ma znaku,  
ale lot tych śmigłych ptaków  
jeszcze się pamięta.

III  
WERTEPY

III

WERTĘPY

*Gdzie kolebka,  
tam myśli błądzą do śmierci.*



## POLESIE

Gdzie jest taki kątek ziemi jak w Polsce Polesie,  
ptaki żyją tutaj wolno, a zwierzyna w lesie?  
W lasach woda ludzi straszy błyskami ułudy,  
młodzież bawi się, a tance ozdabia w "prysiudy".  
Dusza Poleszuka w karbach, twardego wymogu,  
długi oddaje rzetelnie, resztę w cerkwi Bogu,  
bijąc wiernie Mu pokłony, paląc świece-druty,  
wierząc, że tyle wystarczy za winy — pokuty.  
Harda jest poleska dusza, choć w czynach pokorna,  
a u młodych jest ponadto — sękata, zadziorna.

Obraz jasny, trochę mglisty,  
jak mgliste Polesie,  
śpiew basowy, uroczysty —  
niknie aż gdzieś w lesie.

## WERTEPY

Gdzie zajedziesz po tych drogach, które w lesie giną?  
Co masz począć, gdy bagienko spotkasz za olszyną?  
Jedziesz prostą drogą leśną i masz plan dokładny,  
nagle droga się rozwidla i stajesz bezradny.  
Jedna cię prowadzi w lewo na teren bagnisty,  
druga skręca na bezdroża, na szlak korzenisty.  
Albo znowu wjedziesz — bywa — w jakieś grzęzawisko  
i krążysz tam wiele godzin, choć mówili: blisko.  
W innych krajach nie ma lasów, straszą ludzi stepy  
na Polesiu stepów nie ma, za to są — wertepy.

Gdzieś tam stepy, tu rozłogi  
pomiędzy lasami,  
lecz Poleszuk zna swe drogi,  
choć błądzi czasami.

## ŁĄKA

Na łąkach tak zielonych, że niebo zielenią,  
nawet kwiaty wielorakie tego nie odmienia,  
pną się tylko prosto w niebo przez badyle trawy,  
wiatr kołysze wszystko razem, chyba dla zabawy.  
Pszczołom na łące kopalnia, motylom tawerna,  
ma tu także coś dla siebie jaskółka muchożerna.  
Czasem znów rojem wyskoczą makowe szkarłaty,  
wtedy łąka tak wygląda jak tkane makaty.  
A owady-linoskoczki brzęczą jak w talerze  
i w tych szmerach można słyszeć wieczorne pacierze.

Łąka szyta bez napastrka,  
ścieg — zygzatowaty,  
wielka sztuka to malarska  
tak wmalować kwiaty.

## SIANOKOS

Któraż z prac rolnika można z sianokosem zmierzyć?

Ja rolnikiem sam nie jestem, lecz proszę mi wierzyć,  
że i na mnie bardzo działa wonność świeżej trawy,  
kiedy chodzę po pokosach — czasem dla zabawy.

Lubię patrzeć na kopice już po wysuszeniu,  
nawet usiąść gdzieś i zdrzemnąć za kopicą w cieniu.

I tu muszę dodać jeszcze, że zapachy siana  
nastrajają jak melodia przez mistrza zagrana.

A czy na wsi spał kto kiedyś w stodole na sianie?

To się wyspał lepiej niżli w domu na tapczanie.

A te tajemnice w sianie,

te szeptane czułe słowa?

Nic z nich jutro nie zostanie,

bo je zjedzą koń lub krowa.

## LAS

Gdzie szukają równych sosen na przydrożne krzyże,  
świerk gałęzie swe opuszcza, sosna chmury liże,  
pnie się, może chce być masztam wielkomorskiej łodzi  
i czasami to dążenie tej sosnie wychodzi.

Rzadko kto wie jak wiekowy stary las wygląda,  
gdzie z trudnością słońca promień w głąb jego zagląda  
tylko z trudem wypłaszając leśny mrok i cienie,  
chcąc rozjaśnić aż w podszyciu soczyste zielenie,  
chcąc okadzić borowiki, zwykle blade w cieniu,  
a i tym, co słońca pragną, też dać po promieniu.

Gdy las się budzi rano  
w rozśpiewanym świecie,  
to w koronach już szeptano  
o bycie i niebycie.

## RZEKA

W oparach sypia rzeka — pod strażą szuwarów,  
w mule leżą kości: Szwedów, Francuzów, Tatarów.  
Zdarzają się i poleskie — z łódki-duszehubki,  
wydłubanej z kłody drzewa domowej obróbki.  
Słońce w rzekę ledwie wnika, przez wierzy, olszyny,  
by pogłaskać wodorosty, czy łąk podgoliny,  
by wypłoszyć z rzeki smutek, rozwiać tajemnice,  
z których słyną dość szeroko tamte okolice.  
Tak jak izba jest tu zawsze ważna dla człowieka,  
tak dla śmigłych cyraneczek niezbędna jest rzeka.

Niewód, łódka i wężerze,  
to narzędzia Poleszuka,  
a od zguby tu go strzeże  
z dziada-pradziada nauka.

## ŻNIWA

Plecy w kabłąk, ręka chwyta garść słomy z kłosami,  
chłop je wiąże, stawia snopy i rusza wąsami,  
bo ten ruch, to jego radość z ciężaru kłosiwa.  
W letnim znoju wszystkim w polu pot po twarzy splywa.  
A gdy snopy z pola zwożą, — myślą o niedzieli,  
bo im klekot kół gra piękniej od wiejskiej kapeli.  
Czasem znają gdzieś blisko drogi i ktoś ich pozdrowi,  
więc go zaraz na powrosło żniwiareczka złowi.  
On, by z biedy się uwolnić, bo to żart nie głupi,  
sięgnie szybko do kieszeni i z pęt się wykupi.

Tak się chleb powszedni rodzi  
w znoju i spiekocie,  
może wy nie wiecie, młodzi,  
w jak ciężkiej robocie.

## JARMARK

Na kołach chybotających po drodze często wyboistej  
jadą na jarmarek, by siorbnać wody ognistej,  
coś sprzedać, coś kupić — w sklepach czy na rynku,  
i wygadać się dowoli w tym jarmarcznym młynku.  
Gdy chłop sprzedał cielę, baba jaj pół kopy,  
to i w karczmie się spotkali — wraz z babami, chłopcy.  
Rozmawiali jak z nich któryś sprzedał owcę, gąskę,  
jankieł podał butelczynę i śledzia na zakąskę.  
Koń potruchtał teraz żwawiej tą drogą poleską,  
a chłopom szumiało w głowie nalepką niebieską\*.

Baba wiozła w podarunku  
dla siebie trzewiki,  
a dla dzieci w poczęstunku —  
cukierki, pierniki.

---

\* Najtańsza wódka w Polsce miała niebieską nalepkę na butelce.



## ZIMA

Kleszcze mrozu zwarły wszystko — rzekę i jeziora,  
Bagno zawsze zdradą dyszy — jak koszmarna zmora.  
Poleszuk wygląda zimy, czeka na mróz srogi,  
by przedostać się na łąkę, gdzie są siana stogi.  
On wie dobrze co mu grozi, z tym od wieków “zżyusia”,  
wie co znaczy to przekleństwo: “kob ty prowaliusia”.  
I wie także gdzie się kryje to niebezpieczeństwo,  
gdy lód pęknie, to się spełni odwieczne przekleństwo.  
Tam na łące w stogach siano: dla konia, dla krowy,  
jeśli tego się nie zwiezie — głód stuprocentowy.

Śnieżna droga, mrozem ścięta  
i lód mocny pod kopytem,  
to nadzieja, że bydłeta  
przetrzymają zimę syte.

## KARCZMA

Zaraz za wsią, na rozdrożu, w ziemię wpeł wrośnieta —  
stoi karczma, szynk z zajazdem, jak kwoka nadęta.  
W karczmie szynkarz, rosły Jankiel, z zarostem na brodzie  
i karczmarka, młoda Sorka, z mężem w pełnej zgodzie.  
Raz w tygodniu, tam grajkowie, stłoczeni w kapelę,  
grać przychodzą na tańcówkę młodzieży — w niedzielę.  
Bywa, że i gość podróźny w tym zajeździe stanie,  
Sorka zaraz mu przyrządzi z jajkami śniadanie  
i do niego nawet cmoknie, jeśli gość jest młody,  
bo szynkarka, to egzemplarz żydowskiej urody.

Karczmareczko, bądź ostrożna,  
mąż przez szparkę widzi.  
— Wiem co można, co nie można, —  
mąż i ja to Żydzi.

## PSZCZELARZ

Był ten pszczelarz bardzo stary, miał bielmo na oku,  
sił mu także ubywało, wciąż, każdego roku.

Miał w pasiece pięć pni zwykłych, dwa ule ramowe,  
wszystkie stały w zagajniku, gdzie drzewa lipowe.

Miał przy ulach i ławeczkę, od niej, kulejący,  
chodził wolno do swych uli w letni dzień gorący.

Aż któregoś dnia tak zasnął w codziennym chodzeniu,  
że już z miejsca się nie ruszył, poprzestał na siedzeniu.

Już nie widział jak pasieka coraz się wykrusza,  
jak mu roje odlatują i — jak uciekła — dusza.

Gdy przyniosła jeść w koszyku,  
bo na córki był on chlebie,  
już nie dała nieboszczyku, —  
dusza była w niebie.

## RZEMIOSŁO

Mają przykład Poleszuki jak ptak gniazdo kleci,  
więc dla siebie też potrafią wiązać z nici sieci,  
Baba mężowi wzorzyście koszulę ozdobi,  
a on, bednarz-samouczek, z klepek co chce zrobi:  
cebry, wiadra i wiaderka, dzieże, miski, fasy  
i koszyki z nakrywkami na kółka kielbasy.  
Inni toczą kołowrotki z brzeziny lub gruszy,  
drzewo na to przed obróbką parę lat się suszy.  
Sami też budują wozy, okna, drzwi i stoły,  
choć tej wiedzy nie wynieśli z rzemieślniczej szkoły.

Lny, a potem z nich koszula,  
“hładyszki” i miski,  
ławy, stołki, nawet ule —  
dla dzieci kołyski.

## WIECZORYNKI

Gdy przedwieczny zew do tańca w sercu się urodzi,  
coś ich skusi, więc się zejdą w którejsz chacie młodzi.  
W każdej wiosce są zazwyczaj muzykanci swoi,  
a ich liczba nawet czasem dwoi się i troi.  
Harmonista bywa w palcach sztukmistrz wieloraki,  
sam zagrywa jak wichura, innym daje znaki.  
A i skrzypek, co piskoli, wart dobrego gracza,  
aż się chata z tancerzami pijana zatacza.  
I tak tańczą do północy pod takty oberka,  
a babunia kiwa głową i na młodzież zerka.

I już dość, do domu czas,  
wszystko ma swój kres,  
wiedzmy odlatują w las  
i rogaty, czarny bies.

## WESELE

W jednej chacie była uczta, w drugiej tańcowali,  
a tak hucznie, że się zdało — chata się rozwali.  
Jadła sporo, bo zabili wieprzaka i barana,  
dość też wódki, bo starczyło na trzy dni do rana.  
Pani młoda, Katarzyna, miała lat dwadzieścia,  
w tańcu sprytna, bo bywała na tańcach i w mieście.  
A pan młody, zuchowaty, przytupywał żwawo  
i obracał swoją Kaśkę — raz w lewo, raz w prawo.  
Tańcowała cała wioska trzy długie wieczory,  
a kto miarę przebrał w picciu, ten odleżał chory.

Takie to wesele Kachny  
i Jurka Kalety,  
a co było po weselu,  
to już ich sekrety.

IV  
WROTNIE DUSZY

*Gdzie by nie wypadło mnie być,  
myślami zawsze będę błądzić  
nad Muchawcem.*



## RZECZPOSPOLITEJ

Poszli chłopcy i starsi szukać swego kraju,  
w nocy, przez granice, wszędzie, gdzie się dało,  
spotykali się z braćmi, gdzieś na dróg rozstaju  
i tak się z sobą zmawiali, by mieć Wolną i Całą.

Aż do Norwegii zaszli, w śniegu po kolana,  
a inni do Egiptu, do Tobruku, w piaskach —  
i zawsze stała przed nimi Jej postać świetlana,  
sprawiedliwa, wolna i w promiennych blaskach.

Dotarli i do Anglii, w powietrze się wznieśli,  
na skrzydłach walczyli i zawsze tylko dla Niej —  
i z imieniem na ustach Nazareńskiego Cieśli  
w płomieniach umierali dla ukochanej Pani.

Pod ciężkim butem Teütona, w niemieckich obozach,  
odchodzili do nieba z dymem, przez kominy,  
tak samo jak ich bracia w syberyjskich mrozach  
umierali dla Polski — bez żadnej przyczyny.

A ci, co pod Katyniem, drutem skrępowani,  
legli w jednej mogile, postrzelani w lasku,  
i tam życie oddali dla najdroższej Pani,  
dla Polski całej i w wolności blasku.

A ile naszych braci obca ziemia przykryła  
pod śniegami Sybiru, w północnej równinie?  
Wie o tym historia — i wie, że Polska była,  
że jest, żyje — i nigdy nie zginie.

Tak niezłomni synowie Piasta-Kołodzieja  
Polskę mają na ustach, w niej są zakochani —  
i wiedzą, że zawsze, w tysiącletnich dziejach,  
byli Jej oddani, — Najjaśniejszej Pani.

## ZANIOSŁA MNIE FALA...

Zaniosła mnie fala, zaniosła —  
w zbójeckim poniosła gwałcie; —  
po drodze zgubiłem i wiosła,  
a żagiel pozostał w Jalcie.

Kotwica mi tylko została,  
na smyczy, a nie na linie, —  
aż dusza ma zapłakała  
i żal chce utopić w winie.

I zakotwaczyłem się w głuszy,  
gdzie życie piekli się krzewkie,  
wśród ludzi, — lecz z bólem w duszy,  
odziany w jedwabną podszewkę.

Polykam te gorzkie pigułki,  
w myślach się dwoję i troję,  
a w oczach mi stają przytułki  
i cmentarz — na ziemi nie swojej.

## PRZYCZYNA

To było wtedy.  
Koniec września,  
polana śródleśna,  
wędrowców czeredy:  
wojsko, cywile...  
Tu kapelusz piłśniowy,  
tam krzyż brzozowy,  
a tam hełm na mogile.

Dusza-wariatka  
gryzła się bezładnie  
myślami — i dosadnie  
siebie gryzła do ostatka.  
Nadzieja, z uporem  
była najwyżej,  
choć krzyże  
wyrastały wieczorem.

Aż w niedzielę pamiętną —  
najpierw szeptem, a potem  
głośno, jak grzmotem, —  
wieść wzburzyła tętno,  
wstrząsnęła ciałem,  
zadudniła w skroniach...  
Zsiadłem z konia —  
zrozumiałem.  
“Pod Twoją obronę” —  
szeptał skurcz wargami, —  
“Módl się za nami”  
i... “wszystko skończone”...  
Usiadłem, zduszony,  
pod sosną garbatą...  
Na drzewach “babie lato”  
srebrzyło korony.

W piersi szalonej  
krzyk-błuźnierca  
dowiercał się do serca,  
do krwi wzburzonej...  
W uszach dźwięk podzwonny,  
w oczach krata, a za nią —  
Ojczyzna. A dziś mnie gania,  
żem tułacz dozgonny.

## BEZ PORÓWNIANIA

O czym można mówić stojąc przy wieżowcu  
w dumnym nowym Jorku, rozchełstany mieście,  
bo tu nie tak jak u nas — w Płocku czy Sosnowcu,  
tu się łatwo podrapać o ludzi, jak w agreście.

Mów im o Warszawie, że leżała w gruzach,  
że miasta i wioski — to pogorzeliśka...  
Oni mało wiedzą nawet o Francuzach,  
a co dopiero nasze, słowiańskie nazwiska.

Ojczyzna, to dla nich słowo zagadkowe,  
bo o której mowa w tym splocie narodów,  
a w razie nieszczęścia, tylko w piasek głowę  
chowają jak struś, nawet bez powodu.

O, gdyby wasze miasta zamieniono w gruzy,  
a ludzi pognano aż do Kazachstanu,  
wtedy byście wiedzieli, opasłe miętuzy,  
co to jest ojczyzna i racja stanu.

## DOM RODZINNY

Czasami widzę nasz dom,  
mówią mi, że jest wiekowy.  
Gdyby był tu, przeznaczono by go na złom,  
a tam — i stary służy jak nowy.

Tak. Służy. Nawet nie wiemy komu,  
nie znamy jego mieszkańców nazwiska,  
wiemy tylko, że my nie mamy domu,  
ani nawet — jak po pożarze — popieliska.

Spłonął bez ognia. Po prostu — zabrali.  
Powieźli nas gdzie chcieli, pod strażą,  
a domu — nawet nie pokwitowali...  
I tylko — zapomnieć o nim każą.

A przecież — mój ojciec, ja i nasze dzieci  
w tamtym domu się rodziły —  
i księżyc nocami nam tam świecił,  
słońce wschodziło — i godziny biły...

Aż wybiła ta ostatnia, równo o północy,  
pożegnało się dom pod sztykami straży,  
jak złodzieje skradli nam dom pod osłoną nocy,  
by nie było widać zapłakanych twarzy.

I dziś tu, z takiej odległości czasu,  
odgrodzeni wielką wodą, oceanem,  
czasami się przyśni cienistość poleskiego lasu  
i ten dom nasz rodzinny, gniazdo niezapomniane.

## ZMIERZWIENIE SUMIENI

(Jałta)

Pisanka. Blaskami kolorów treść zatruta.  
Jak w tajemnicach chemii — zakuta  
wola. Apokaliptyczne zniszczenie w przeroście...  
Lotnicze życie w ilnym wodorocie.  
Dziecko zrodzone na mitingu, —  
z mgławic i ze spazmów tworzywo,  
z lotnych piasków pieczywo...  
Rana. Odbarwiacz barw i koloryzowanie  
beztreści. Bezwiedne samobiczowanie.  
Pomyłka. Nie z przypadku, zaproszona...  
Kogucia walka, w zażarcu — przedawniona, —  
nierozstrzygnięta i nierozstrzygana — jałowa —  
dziecko straszego przypadku — NIEMOWA.

## ODPOWIEDŹ

Chodził chłopak, nikomu nie znany  
i płakał. Dlaczego — nikt nie wie.  
Może on już jest zakochany,  
a może rozstał się z domem w gniewie?

I dziwiła się cała miejscina —  
i każdy o niego się troszczył...  
Dlaczego on płacze, co za przyczyna,  
tak ten chłopak ciekawość zaostrzył.

A inni myśleli: może on płacze,  
że mu coś wewnątrz dolega,  
może, że życie ma ciężkie, tułacze,  
a może skrzywdził go któryś kolega?

Aż zdarzyło się kiedyś spotkanie  
z kimś, co miał już na głowie siwiznę —  
i gdy ten mu postawił pytanie —  
chłopak rzekł: Ja straciłem ojczyznę.



## ZAROSŁA NASZA DROGA

Cóż z tego, że semafor pozornie otwarty, —  
ktoś grał tam bez nas i przegrał nas w karty.

Nasza lampa tam była, wyłącznik był w dali,  
wyłączyli prąd w Jałcie — i pomierali.

Droga się zmyliła gdzieś tam na zwrótnicach,  
z naszej książki zginęła ostatnia stronica.

Nie szukajcie Jagiellonów, nie szukajcie Piasta,  
zarasta droga za nami, boli i zarasta.

Zarosła nasza droga, lasem już zarosła, —  
nas już nie szukajcie, fala nas rozniosła.

Latorośle już inne, choć z tegoż korzenia,  
ani ducha w ich sercu, ani w ustach imienia.

## MUSZĘ TU ZOSTAĆ

Gdybym był ptakiem,  
które bez paszportu  
i bez wiz ambasad  
mijają granice —  
    leciałbym tym szlakiem  
    do tamtego portu,  
    gdzie jest nasza krasa  
    i nasze ziemice.

Gdybym był zającem,  
tym szarym zwierzakiem,  
co żywi się trawą  
i jest chyży w biegu —  
    biegłbym po tej łące  
    swym zajęczym szlakiem —  
    i gdzieś pod Warszawą  
    szukałbym noclegu.

Gdybym był węgorzem,  
rybą wędrującą, —  
płynąłbym do Gdyni,  
z Gdyni do Warszawy...  
    A mnie tu za morzem  
    aż myśli się mąca,  
    że nic się nie uczyni  
    na ten los koślawy.

Że jestem człowiekiem,  
spętanym paszportem,  
granicami, wizą —  
nic nie mogę sprostac —  
    tu, w kraju dalekim,  
    z nowojorskim portem,  
    w smutku się zagryzę,  
    ale muszę zostać.

## WROTNIE DUSZY

Czego szukacie, przyjaciele,  
wejścia do mej duszy?..

L a b i r y n t ...

Jedno jest tylko do niej wejście —  
przez strofy mych wierszy.

Są w nich  
moczary poleskie,  
bo moja dusza,  
do mego cielesnego oprzędu  
tam weszła...

Lasy cieniste i ścieżki,  
przez dzieci poleskie wydeptane,  
bo tam ziściło się  
kształtowanie mego życia...

Rzeki leniwe,  
pełne czaru i tajemnic, —  
bo tam mojej duszy  
świeciło poleskie złote słońce...

Rozmodlone kościoły  
i rozśpiewane cerkwie,  
bo tam wrosłem w cząstkę Boga...

Rechot żab i klekot bociana,  
bo echo tych głosów  
i dziś w sobie noszę.

Więc, proszę:  
otwórzcie na oścież duszy mej wrotnie  
i czytajcie —  
co ja w niej noszę —  
samotnie.

## BIBLIOTEKA

Wiedzy grobowiec, pokarm moli i myszy,  
oczko zazdrości magnatów,  
składnica myśli z zaświatów,  
przybytek zadumy i ciszy.

Spiętrzenie milionów godzin  
zgarbionych postaci-odlutek,  
przyczyny rozbieżnych skutków,  
metryki zgonów, urodzin.

Rzeki łez i śmiechu jeziora, —  
lazurowe, choć pełne iltu...  
Siedlisko kurzu i pyłu,  
obsługi straszliwa zmora.

Rój martwych wodotrysków,  
zmienionych w głębokie studnie,  
z których się czerpie żmudnie...  
Ofiarność i stopy wyzysków.

Schadzka prądów i wieków, —  
przypadkowa, na jednej półce,  
jak zestaw leków w ampułce,  
jak chemia wodościeków.

Wiedza skradziona od bogów,  
z tajemnych otchłani...  
Więźniowie ponumerowani,  
przykuci do katalogów.

Uśpione myśli człowieka,  
drzemiące cierpliwie w tomach...  
Dlatego tak cicho w tych domach  
z szyldami: "Biblioteka".

## WSPOMNIENIA

Wpatrzony jestem i widzę —  
aniołów gromady...  
Urzeczony milczę, choć chciałbym mówić, —  
to sady.

Kwitnące drzewa,  
jak oblubieniec szeregi,  
rumiane narzeczeństwem  
i kwieciem dumne...

Milczą,  
a szumu i brzęku tyle,  
co w ulu miodowym.  
Serce bije mocno,  
bo płuca  
zapachu pomieścić nie mogą...

A płatki lecą  
jak lata minione:  
brązowieją  
i nikną.

Aż jabłka czerwone  
i śliwy nadęte  
obciążą konary.  
A wtedy?

Już wiem —  
żem — stary.

Jesień.  
Cóż mi zostało  
z wiosny i lata,  
z tych wzlotów  
i uniesień?

Coś się przeżyło!  
Listopad.  
To nie pszczoły szemrzą,  
to liście pod butem,  
co stąpa starczo.

I niech mi te myśli  
za wszystko co było —  
wystarczą.

## SMUTEK I ROZŁĄKA

Przyszedł Smutek do Rozłąki,  
podał rękę, zrobił skłon,  
a Rozłąka wzięła z łąki  
przymrozkowy zimny szron.

I podała mu do ręki  
ten jesienny mroźny war.  
“Masz, mój Smutku, weź te wdzięki,  
od Rozłąki smutny dar”.

Smutek wziął ten dar bez słowa,  
skłonił się i w rękę cmok —  
i choć go bolała głowa,  
już się trzymał z nią krok w krok.

Tak chodzili zimę całą,  
szepcząc lubyh milion słów,  
a gdy słońce znów zagrzało,  
ona jemu rzekłą znów.

“Rozstaniemy się na wiosnę,  
zniknę ja i ty też zgiń,  
ja tam kwiatkiem gdzieś wyrosnę,  
a ty z wodą w dal gdzieś spłyn”.

## JESIEŃ

Chmurny dzień. Nie pada.  
Wiatr zza stodół podcina...  
Początek listopada,  
jesienny dzień ponury.

Kury —  
stoją w zaciszu, przy ścianie —  
i drzemią, napuszone...  
Myślą,  
że jesień, to boskie skaranie.

Przy takiej pogodzie —  
pies, w kłębek zwinięty w budzie,  
jednym okiem zerka,  
czy nie idą ludzie —  
i myśli...  
o głodzie.

Z dala —  
słysząc klekot jadącego wozu  
i pochrapywanie konia...  
Ktoś wraca z miasta...  
Wiejska symfonia.



## WRÓŻBA

Wstała z łóżka cichutko,  
otuliła się narzutką  
i wyszła nowiu na niebie poszukać.  
Noc była śliczna,  
gwiaździsta, krystaliczna, —  
było cicho, tylko sowa zaczęła hukać.

Powiedzieli dziewczynie,  
że dziś, gdy północ minie —  
księżycy winno być narodzenie,  
a ten, kto to zobaczy,  
dla niego to znaczy,  
że w miłości będzie miał powodzenie.

Więc pomiędzy gwiazdami  
przebiegała oczami  
i w zapale ścisła aż pięście...  
Jej serce szukało,  
bo to serce wiedziało,  
że od tego zależy jej szczęście.

Nagle, na schyłku nieba,  
jak błysk na bochnie chleba  
wyjętego dopiero co z pieca, —  
najpierw szarawym cieniem, —  
a potem — półpiersciem —  
zobaczyła, że coś się prześwieca.

Serce mocniej zabiło,  
bo radości nie kryło,  
że się stanie jak rzekła jej wróżka, —  
więc nie tracąc już czasu,  
cichutko, bez hałasu  
i bez zwłoki — pobiegła do łóżka.

## PASIECZNIK

Chodził zawsze strudzony,  
postarzał od chodzenia,  
sam tu był, bez żony,  
posiwał od milczenia.

Do pszczoł wczesnie wstawał,  
prawie zawsze o świcie —  
i takie to było  
pasiecznika życie.

Miał w pasiece ławeczkę,  
wytartą od siedzenia,  
stąd widok miał na rzeczkę,  
zdziwaczał od patrzenia.

Zbierał miód, sprzedawał  
na potrzeby życiowe,  
raz kupił nawet buty  
i ubrał się w nowe.

I poszedł w nich do miasta  
na rynek w dzień jarmarczny...  
Z tęsknoty czy z samotności  
zaglądnął nawet do karczmy.

Spotkali go tu znajomi,  
przyjaciele z lat młodszych,  
wypili najpierw po jednym,  
a potem i — trzy po trzy.

Skarżył się im na samotność,  
na nieprzyjazne losy —  
aż przepił pasiecznik buty  
i poszedł do domu — bosi.

## TESTAMENT

Już pociąg zdyszany nadchodzi,  
za lasem światłem błyska.

Do was się zwracam, młodzi,  
nie zgubcie mego nazwiska.

Z poleskich moczarów wyrosło,  
po drogach poleskich chodziło...  
Nie talent to był, nie rzemiosło —  
pisałem — jak wychodziło.

Wam młodym zostawiam spuściznę,  
nie zgubcie znizanych koralu,  
obyście mą ojcowiznę  
znali i o niej czytali.

I bukiet z polnych kwiatów,  
nie innych, tylko poleskich,  
niech leci do zaświatów,  
gdy stanę u bram niebieskich.

Tam, na wybrzeżu Muchawca —  
niezabudek — aż się niebieści!  
Gdy jesteś od wierszy znawca,  
nie szukaj błędów w ich treści.

## JESZCZE RAZ

Jeżeli myślę o sobie,  
to tam siebie widzę,  
gdzie boso biegałem po trawie...  
Za serce to skrobie,  
aż się tego wstydę,  
że stary i tym się jeszcze bawię.

Tam była piękna trawka,  
po której, jeszcze z rosą,  
lubiłem biegać wzdłuż i w kółko.  
W ogrodzie była ławka,  
na której, po bieganiu boso,  
ze smakiem zjadałem mleko z bułką.

A po co mi to dziś,  
staremu i nad grobem,  
czy warto przypominać czasy dawne?  
Ktoś powie, czy nie lepiej byś  
zaprzestał już być snobem,  
bo teraz jest to raczej śmieszne, niż zabawne.

A ja odpowiem mu,  
w tym moim teraz wieku,  
tym krótkim jednym zdaniem:  
mieszkając teraz tu,  
pragnienie mam, człowieku,  
pobiegać jeszcze raz tam przed skonaniem.

## SPIS TREŚCI

### I PRZY KOŚCIELE

Muzyczna narkoza .....	7
Czemu nie jestem dębem? .....	8
Na krakowskich błoniach .....	9
Boże Narodzenie .....	10
Po much brzęczeniu .....	11
Cierniowa korona .....	12
Onego czasu .....	13
Pokłon pasterzy .....	14
Za koronkowe wieczory .....	15
Wigilia .....	17
Nauczcie się .....	18
Jak to jest na tym świecie? .....	19
Poezja .....	20
Tamto wciąż wraca .....	21
Kto .....	22

### II POLESIE

Co nam powiedzą .....	25
Jaka tam trawa już wyrosła .....	26
Polesie .....	27
Bajko moich wspomnień .....	35
Tam gdzie chodziłem .....	36
Leśna symfonia .....	37
Garść wspomnień .....	38
Mój dom .....	39
Szara godzina .....	41
Sianokos .....	42
Po rosie .....	43
Chłodek cię wypieści .....	44
Żyto .....	45
Chata .....	46
Koncert .....	47

Dom .....	48
Wiatrak .....	49
Spacer .....	50
Chleb w drodze do domu .....	51
Dobrze na wsi .....	52
Zabużanka .....	53
Rybak .....	55
Grudniowe marzenia .....	57
Wierzę .....	59
Sadzawka .....	60
Nikodem .....	61
Sofija .....	62
Maj .....	63
Lebioda .....	64
Słów mięczaki chwycić .....	65
Z lubością .....	66
Gniazda jaskółcze .....	67

### III WERTEPY

Polesie .....	71
Wertepy .....	72
Łąka .....	73
Sianokos .....	74
Las .....	75
Rzeka .....	76
Żniwa .....	77
Jarmark .....	78
Zima .....	79
Karczma .....	80
Pszczelarz .....	81
Rzemiosło .....	82
Wieczorynki .....	83
Wesele .....	84

#### IV WROTNIE DUSZY

Rzeczpospolitej .....	87
Zaniosła mnie fala .....	88
Przyczyna .....	89
Bez porównania .....	91
Dom rodzinny .....	92
Zmierwienie sumień .....	93
Odpowiedź .....	94
Zarosła nasza droga .....	95
Muszę tu zostać .....	96
Wrotnie duszy .....	97
Biblioteka .....	98
Wspomnienia .....	99
Smutek i rozłąka .....	101
Jesień .....	102
Wróżba .....	103
Pasiecznik .....	104
Testament .....	105
Jeszcze raz .....	106